

Moje intymne wyznanie

Z Krystyną Jandą rozmawia Małgorzata Kroczyńska

- O „Pestce”, której szerza publiczność jeszcze nie widziała, bo film dopiero teraz wchodzi na ekrany naszych kin, wiele już jednak powiedziano i napisano. Opinie są bardzo różne, ale chyba dwie dominują. Według jednej „Pestka” jest tylko historią o kobiecie, opowiedzianą kobietom przez kobietę. Zupełnym przeciwieństwem takiej oceny jest z kolei pogląd, że ten film może być zacznem do poważnej dysputy o moralności i polskim katolicyzmie. Który z tych sądów jest pani bliższy?

- Mam nadzieję, że „Pestka” jest rzeczywiście ważnym głosem w dyskusji o moralności. Jednak w żadnym razie nie jest to film moralizatorski, który mówi, co wolno, a czego nie. On raczej proponuje, żebyśmy ze sobą spokojnie porozmawiali. Przecież wierzący czy niewierzący generalnie jesteśmy porządnymi ludźmi i jeżeli niektórym z nas zdarza się taka miłość niemożliwa, kiedy unieszczęśliwiamy czyjeś dzieci, żony, to zaczynamy sobie wtedy zadawać elementarne pytania. I o tym jest mój film. Prosty, ale myślę - prawdziwy. Ja jestem po rozwodzie, mój mąż jest po rozwodzie, większość ludzi, z którymi pracuję, też to przeżywała, albo przeżywa. Wiem, że za każdą taką historią kryje się straszna tragedia, że ogromne są koszty takich decyzji. Ale ja nie chcę mówić, że coś jest złe. No, bo po prostu uczucia są uczuciami. Ważne tylko, żebyśmy z jednej strony jakoś głupio nie oskarżali siebie, a z drugiej zastanawiali się zawsze nad swoimi słowami i decyzjami. I tylko tyle chciałam powiedzieć w „Pestce”. Ten film to ważne dla mnie i bardzo intymne wyznanie.

- Dla Borysa i Agaty, bohaterów „Pestki”, przeszkoda nie do pokonania, tym, co re-

alizację ich miłości czyni niemożliwą, jest przede wszystkim jego wiara.

- Rzeczywiście, problem filmu niesie mężczyzna. Cała uwaga skupiona jest na nim, na tym, co się z nim dzieje. A on jest prawdziwie, głęboko wierzący. I tu dotykamy jeszcze jednej ważnej sprawy. Z jednej strony mówi się, że w 95 procentach jesteśmy katolikami, a jednocześnie przecież Polska jest w europejskiej czołówce pod względem liczby rozwodów. Więc jest się nad czym zastanawiać, jest o czym rozmawiać. Ja swoim filmem to proponuję, ale bez agresji, elegancko, głosem płynącym z serca.

- I do tego, jak pani powiedziała intymnego wyznania, konieczna była obecność po obu stronach kamery?

- Ja wcale nie zamierzałam reżyserować tego filmu. Ja tylko od paru lat chodziłam i mówiłam, że chcę zagrać Agatę, bo mam pomysł na tę postać. Ale nikt nie chciał tego filmu zrobić, więc Paweł Rakowski, producent powiedział: „zrobisz to sama”. I tak się stało. Być może, że gdybym nie była w „Pestce” i aktorką, i reżyserem, moja rola byłaby inna, a tak musiałam manipulować właśnie w obrębie swojej roli dla dobra filmu.

- Czy spotkanie w jednym filmie dwu gwiazd - pani i Daniela Olbrychskiego i to w sytuacji, gdy jedna z nich jest jeszcze dyrygentem na filmowym planie nie rodziło starć, konfliktów?

- O żadnych starciach nawet nie było mowy. Mnie samej zdarzało się być aktorką w ekipach, gdzie stresi reżysera działały na wszystkich paraliżująco, więc wiedziałam, że nie wolno mi doprowadzić do sytuacji, w której zniknie porozumienie. Problemy operatora z reżyserem, czyli moje z mężem, mieliśmy dawno załatwione w domu. Nikt na planie nie widział nas kłócących się.



Nie było żadnych zgrzytów. Jeżeli płakałam, to w nocy i sama. Ja naprawdę rozumiem psychikę aktora i umiem o nią zadbać. Co do Daniela. Wybrałam go do tego filmu między innymi dlatego, że on jest niezwykle lojalnym kolegą. A jako aktor ma w sobie wielkość i naiwność dziecka, wciąż ma taki entuzjazm do tego zawodu, jakiego brak nawet studentom szkoły teatralnej. Wiedziałam, że jemu mogę zaufać.

- W „Pestce” w ogóle grają sami popularni, znani aktorzy: Jan Englert, Zofia Kućówna, Jan Frycz...

- Zaangażowałam do tego filmu moich przyjaciół i wiedziałam, że oni wyjdą ze skóry, żeby wszystko się udało. Wiedziałam, że nikt z nich nie zrobi nic, żeby zniszczyć obraz, który zresztą wcześniej wspólnie omówiliśmy, bo ja też niczego nie wrywałam im wbrew ich woli.

- A jak reżyseruje się samą siebie?

- Zawsze jako aktorka patrzę na siebie krytycznie, nigdy nie byłam specjalnie z siebie zadowolona, a jeśli już, to wiedziałam, dlaczego. Zawsze też mówiłam, że naprawdę dobrze zagrałam w „Przesłuchaniu”, a wszystkie inne moje role mają sporo błędów, co zresztą niekoniecznie jest moją winą. Generalnie jestem osobą, która patrzy na siebie bardzo realnie i mocno chodzi po ziemi.

- Czytuję pani wiadomości o sobie, recenzje filmowe? Liczy się pani z opiniami krytyków, ma do nich żal, pretensje, albo może ich sądów w ogóle nie przyjmuje do wiadomości?

- Mam wykupioną prenumeratę „Globu” i cokolwiek ktoś w Polsce „chlapnie” na mój temat, ja natychmiast dostaję pocztą. Ponieważ wielokrotnie zdarzało mi się czytać o sobie różne bzdury i nieprawdziwe informacje, staram się teraz wiedzieć, kto korzysta z mojego nazwiska i czasem pewne rzeczy korygować. A recenzje? Gdybym miała się nimi przejmować już dawno powinnam popełnić samobójstwo, albo co najmniej przestać być aktorką, bo tak złych recenzji, jakie ja miałam po „Człowieku z marmuru”, nie miała w tym kraju chyba żadna inna aktorka.

- Ale to był debiut, a potem wszystko się zmieniło.

- Tak, zmieniło się, ale ciągle jestem postacią kontrowersyjną. Nie gram i nie reżyseruję po to, żeby zadowolić krytyków. „Pestkę” kręciłam dla szerokiej publiczności, a nie dla nich. Nie znam ich, a publiczność wydaje mi się, że znam. Poza wszystkim to chyba niemoralne znać krytyków, a już fatalnie, kiedy tzw. środowisko się z nimi przyjaźni. Wtedy opinia tego środowiska przenosi się na krytykę w sposób automatyczny. Myślę, że tak stało się w Gdyni, jeśli chodzi o „Pestkę”.